

## Fragment relacji świadka historii



**JANUSZ WOŹNIAK**

ur. 1947, Konary



<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Dzierżonów, 1980–2020
--------------------------------------	-----------------------

### Janusz Woźniak wspomina Andrzeja Kozłowskiego

Andrzeja Kozłowskiego poznałem w 1981 roku, po stanie wojennym. Słyszałem o jego wyczynie. O tym jak wykradł z zakładu sztandar zakładowy „Solidarności” DFK, Dolnośląskiej Fabryki Krosien. On po prostu wyniósł go do domu na początku stanu wojennego. Ja się o tym dowiedziałem i pomyślałem później, jak dostałem zadanie stworzenia TKZ, Tymczasowych Komitetów Zakładowych, że to będzie świetny facet właśnie do tego. Później zaproponowałem mu pracę w Tymczasowym Komitecie Zakładowym. On się zgodził i tak się zaczęło. To była ciekawa historia z tym sztandarem, dlatego że odwaga tego faceta była przeogromna. On mi opowiedział tę historię w późniejszym okresie. Ale w zakładzie, w którym też pracowałem jako konstruktor, słyszałem z ust innych osób, że on tego dokonał. Tak się spotkaliśmy. Ten sztandar był zamówiony we Wrocławiu u sióstr zakonnych. Pojechałem wtedy z Borodajko, z naszym przewodniczącym „Solidarności” zamówić go. Byłem przekonany, że ten sztandar haftują zakonnice. Jak się później okazało przy odbiorze, to nieprawda, dlatego że to jakiś facet haftował. Byłem strasznie zaskoczony.

Więc jaka to była sytuacja z wyniesieniem tego sztandaru? Andrzej pracował na wydziale drugim w Dolnośląskiej Fabryce Krosien. Przyniósł zwolnienie lekarskie i dowiedział się, podsłuchał od kolegów, którzy szeptali na wydziale, bo już przyjechali zomowcy i oficerowie, zaczęli wprowadzać swoje rządy, że sztandar jest w „Solidarności”, w tej naszej deefkowskiej. Po prostu poprosił o klucze, poszedł tam, zerwał plombę, owinął się tym sztandarem i wyniósł go do domu. Później był dylemat, co z tym zrobić. Ja tę historię muszę trochę rozwinąć, bo była taka sytuacja, że on za długo trzymać go w domu nie mógł. Myślał, co z nim zrobić. Wreszcie zdecydował się, że przekaże go do kościoła św. Jerzego w Rynku. Rzeczywiście zaniósł go tam i ksiądz przyjął ten sztandar. Jak on mi już tę wersję opowiedział, to ja zacząłem szukać tego księdza. Mówiłem: *Muszę go znaleźć. Kto to był?* Trwało to chyba z półtora roku. Nikt mi nie chciał pomóc. Nasz ksiądz nie chciał pomóc i mówił, żebym poszedł do kurii. W Internecie znalazłem, jak poszczególne księża sprawowali tutaj posługę. I tym śladem doszedłem do tego księdza, który najprawdopodobniej przechowywał ten sztandar. Jak już znalazłem informację, gdzie on mieszka i gdzie jest na parafii, gospodyni mi powiedziała, że dwa tygodnie temu ten ksiądz zmarł. Tak więc do dzisiaj nie wiemy i wiedzieć nie będziemy, który ksiądz przechowywał sztandar.

Później Andrzej dowiedział się od swojego kolegi z zakładu, że esbecy przyjdą do niego po ten sztandar. Dowiedzieli się, ktoś najprawdopodobniej sygnął, może wziął (...), bo przecież tajni współpracownicy byli. Zdążył tylko przyjść do niego i powiedzieć, że esbecy będą za chwilę. Kolega wyszedł i oni rzeczywiście przyszli. Przyszło trzech esbeków i powiedzieli, żeby oddał ten sztandar. On mówi, że nie ma tego sztandaru. Tam była taka przepychanka. Ale Andrzej powiedział, że za godzinę przyniesie. Poszedł do tego księdza. Ksiądz dał mu sztandar. Tam były perypetie różnego rodzaju i historia bardziej skomplikowana.

Myśmy założyli taką grupę, i było coś w stylu przysięgi, właśnie w mieszkaniu Andrzeja Kozłowskiego, który dostał mieszkanie w tym czasie i je remontował. Tam jeszcze nic nie było. Ta grupa składała się z osób z każdego wydziału: odlewnia, mechaniczny pierwszy, mechaniczny drugi, główny mechanik, produkcja, montaż. Po jednym przedstawicielu z wydziału było w TKZ, Tymczasowej Komisji Zakładowej. Ja o tym wiedziałem i oni wiedzieli o mnie. Na tej zasadzie się wszystko opierało. Byłem konstruktorem, miałem bardzo wygodne dojście do każdego z nich,

żeby przekazywać informacje, zbierać informacje i tak dalej. Tak się zaczęła nasza działalność. Bardzo fajnie, bardzo elegancko to wszystko było zorganizowane. Andrzej był najlepszy z nich. To był człowiek, który nigdy nikomu niczego nie odmówił. Zawsze starał się. Poprosiłem go o coś, zawsze był na stanowisku. Tak to wyglądało z Andrzejem.

Po wprowadzeniu stanu wojennego to już była ciężka mozolna praca i wiem, co on robił. Uczestniczył w przeróżnych pracach. Na przykład uczestniczył w produkcji ulotek „Z rąk do rąk”. Robiliśmy to razem w Piławie Górnej. Już nie pamiętam nazwisk tych pań. Ale pamiętam, że z Andrzejem pojechaliśmy tam i te panie nam udostępniły lokal. Tam produkowaliśmy ulotki. To była ciężka praca, bo trzeba było zorganizować i farbę, i papier, przecież tego nigdzie nie było. To był naprawdę świetny facet do konspiracji. Nie wyobrażałem sobie lepszego. Jestem pełen podziwu do dzisiaj, dla tego co on robił. Mówię o nim tylko w superlatywach. Nie ma żadnych uwag do niego. To był człowiek, który nie czekał na zaszczyty, nie czekał na jakieś nagrody, tylko robił, tyrał, tyrał i tyrał. Nieprawdopodobny facet. Później mu się życie posypało.

Ulubionym zajęciem Andrzeja było nagrywanie audycji Radia „Solidarność”. To było chyba w lecie. Dostaliśmy informację, że możemy odebrać radiostację z Wrocławia. Andrzej Bartoszyński mi to przekazał. Ja miałem samochód. Umówiliśmy się. On miał hasło, odzew. Pojechaliśmy. To była bardzo ciekawa sprawa. W każdym razie radiostację tutaj przywieźliśmy. I na tej radiostacji Andrzej, będąc takim głównym dowodzącym, nagrał bardzo dużo audycji. Był takim stawiaczem. Stawiał radiostację, włączał ją, wyłączał i związał się. Szczegółowo opowiem o jednym nagraniu. To będzie mi potrzebne później na zakończenie tej opowieści, bo tam będzie świetne zakończenie tej sprawy. Było tak, że każdy zakład co jakiś czas dostawał zalecenie, żeby zrobić nagranie środkami własnymi w zakładzie, ludźmi z zakładu. No i Andrzej Bartoszyński mówi: *Nagrajcie to*. To nagranie miało się odbyć 30 listopada 1982 roku, pamiętam dokładnie, bo je organizowałem. To było nagranie, w którym uczestniczył Andrzej Kozłowski, Janek Kozak z Bielawy, ja i Andrzej Bartoszyński. Najpierw musiałem dobrać teren. Pamiętam jak dzisiaj, żonę z tych terenów miałem, więc było mi łatwo znaleźć odpowiednie miejsce, żeby nas nie zgarnęli. Najpierw myślałem o tak zwanej „suszarni chmielu”. Ale to był zamknięty teren. Tam można było nas wyłapać. Jak się wjeżdża od strony Świdnicy, po lewej stronie, gdzie są trzy budynki nowo wybudowane, jest wzgórek. Teraz tam jest rondo „Solidarności”. To miejsce mi najbardziej pasowało, dlatego że było dojsię ze wszystkich stron. Ulicą Świdnicką można było uciekać, Botwina, teraz Nowowiejską można uciekać i taką polną drogą. Było pole manewru do odwrotu. Z Andrzejem Kozłowskim omówiliśmy tę sytuację, jak zrobimy. Ustaliliśmy, że on tam będzie z radiostacją, ja będę koło chmielu z lampką „jakby coś”. Andrzej Bartoszyński był na rozwidleniu ulic. On też miał lampkę i jakby coś się działo, gdyby jechali, to mieliśmy sygnalizację, żeby to przekazać. To była piękna sprawa i to pięknie wypaliło dzięki Andrzejowi. Później był odwrot. On z radiostacją na gospodarstwo, bo było też umówione gospodarstwo, gdzie on miał tę radiostację złożyć, żeby ją zabezpieczyć i żeby jej nie znaleźli. Wyszło to pięknie. Najlepszą ciekawostką było to, że wracamy z tego nagrania i wjeżdżamy na osiedle Różane, ja do domu, Andrzej Bartoszyński do swojego domu, bo on tu mieszkał w jedyńce, a tutaj, gdzie teraz jest plac zabaw, stali esbecy i pelengator z Wrocławia, i nagrywali. Chcieli złapać, gdzie jest ten sygnał. Odprysk tego był straszny, bo oni zaatakowali ten budynek, wieżowiec diorowski, który był hotelem. Tam ich trochę przetrzepali. Ale byliśmy tacy dumni, że nas nie złapali, nie wyłapali tego sygnału. A nagranie było dość długie, bo pół godziny to wszystko trwało. Andrzej się spisał na medal. Tylko i wyłącznie można jemu podziękować, że to wszystko się udało. Myśmy oczywiście to zorganizowali, ale on to zawiózł, włączył, odskoczył z tą radiostacją. To był facet nieprawdopodobny według mnie.

Andrzej brał też udział w trzecim nagraniu. Nagrań było kilkanaście. Ale trzecie było na ulicy Świdnickiej numer osiem, koło kościoła Maryi Matki Kościoła. On zrobił to nagranie na dachu. Ono się nie udało, dlatego że go namierzeli wtedy, ale zdążył odskoczyć. Bo on zawsze sobie tę odskocznnię umiał zrobić. Wiedział, jak odskoczyć. Odskoczył do Rynku, wskoczył do taksówkarza i poprosił, żeby go odwiózł. Ale nie chciał za bardzo. Dopiero jak powiedział: *Chłopie, zaraz mnie wsadzą*. Ten go odwiózł. Zdążyli uciec. To było jego pierwsze nagranie, które mu się nie udało. Traktujemy to jako nieudane, bo to jest cała historia jak z ulotkami.

Czwarte nagranie, najlepszy numer, odbyło się na Batalionów Chłopskich, na dachu mieszkania państwa Kozaków. Pamiętam, bo sam brałem udział w tym jako taki ochroniarz. Stałem na przystanku, patrzyłem, czy ktoś nie jedzie. Ale on to zorganizował z Jankiem Kozakiem. Oni to zorganizowali we dwóch. Ale żeby było śmieszniej, to obok milicja miała posterunek. Na ulicy Batalionów Chłopskich była milicja drogowa, od zatrzymywania samochodów. To już było nie do pomyślenia.(...) To nagranie też się udało. Ale było to niebezpiecznie, bo za blisko ta milicja była.

Piąte nagranie, które się odbyło, to właśnie na wzgórzu, o którym opowiadałem. Jedno z lepszych nagrań było wtedy. To było słyszalne, bo specjalnie wybraliśmy taki teren, żeby był też zasięg Bielawa i Pieszyce. I to tam, z tej drogi wszystko ładnie objęło. To, że myśmy wcześniej pisali w ulotkach, że w tym i w tym dniu będzie audycja, to był błąd konspiracji. Tak się nie robi, dlatego że oni przewieźli pelengator i czaili się na nas. Ale to się udało na razie, na szczęście. Siódme nagranie, o zgrozo, odbyło się w tym samym miejscu. Andrzej drugi raz to zrobił w tym samym miejscu, koło tej milicji. Wtedy już się zdenerwowałem. Mówię: *Andrzej, no przecież tak nie może być. Przecież*

wcześniej czy później wpadniesz. A jak wpadniesz, to będzie niedobrze, bo przecież znasz wiele ludzi. Ósma emisja z udziałem Andrzeja miała się odbyć na Błękitnym. Niestety, radiostacja nam się zepsuła. Nową radiostację dostaliśmy w styczniu 1983 roku. To już była profesjonalna radiostacja. Andrzej też uczestniczył w nagraniach. Ale 30 sierpnia 1983 roku Andrzej został aresztowany. Mam postanowienie o jego tymczasowym aresztowaniu. I co ciekawe, zawieźli go do Wałbrzycha na przesłuchanie. A 31 sierpnia mnie też aresztowali. I po tych przejściach w Dzierżoniowie, też mnie zawieźli do Wałbrzycha. Wrzucili nas do jednej celi, gdzie było nas chyba osiemnastu. Leżeliśmy na podłodze. Były jakieś sienniki. Patrzą, a tam jest Andrzej. Nie wiedziałem, że jego aresztowali. No i sobie myślę: *O zgrozo! Teraz się zacznie dziać.* Ale w nocy poczołgałem się do niego i pytam: *O co chodzi?* On mówi: *Nie martw się, nic takiego. Ja tylko za ulotki.* W zakładach esbecy często robili rewizje, szukając ulotek. No i tam jak zwykle miał w szafce i dlatego go aresztowali. Ja mu tylko powiedziałem, żeby odpowiadał tylko tak: nazwisko, imię, gdzie się urodził, gdzie mieszka, adres, nic więcej, ma nie rozmawiać. On mówi: *Okej.* Tam wtedy się te jego kłopoty zaczęły. Ale mógł wrócić do zakładu do pracy. Tyle jemu się udało, że miał gdzie wrócić. Już na drugi dzień się zorientowali, że my jesteśmy z jednej miejscowości, to mnie zabrali do innej celi. Dobrze, że ja go tam zauważyłem, bo mu powiedziałem, żeby nie odpowiadał na żadne pytania. Nic. Nazwisko, imię, gdzie mieszka, koniec, kropka. Na szczęście tak jakoś to się udało, że nie posypało to się wszystko, bo to wisiało na włosku. Co ciekawe, później po wyjściu z więzienia pracowaliśmy dalej. Udawało się. Co było też nie za bardzo w porządku, bo trzeba było się raczej kryć. Wtedy nie było ludzi. To teraz się mówi, że wszyscy pracowali. To była garstka ludzi naprawdę takich, którym chciało się, którzy się poświęcili. Mówiąc szczerze, w każdej chwili groziło aresztowanie, rozpady małżeństw i tak dalej. Przecież to były potężne kłopoty różnego rodzaju. Zrobiłem jeszcze zebranie wszystkich tych ludzi z mojego zakładu, na działkach, jak się jedzie na Bielawę. Tam od znajomego dostaliśmy altankę, żeby się zobaczyć, policzyć, ilu nas jest. Na dziesięciu ludzi przyszło czterech czy pięciu. Więc to się zaczęło tak pomalutku kończyć, następował schyłek jakby.

Ale zaczęło się Duszpasterstwo Ludzi Pracy i tam żeśmy się skupili, spotykając się w kościołach, salkach katechetycznych. Pamiętam, Andrzej tam przychodził. Ja też tam przychodziłem. Wyjeżdżaliśmy do Częstochowy na manifestacje religijne bardziej. Tam każdy, co miał do powiedzenia, miał napisane na plakatach. To była piękna sprawa. Naprawdę jego trzeba podziwiać i takich ludzi. Dlatego wygraliśmy. Mnie się udało taką grupę stworzyć, zebrać. Ale ja tak patrzyłem, obserwowałem ich. Graliśmy w siatkówkę, czy gdzieś poszliśmy na piwo i wiedziałem, że na tego człowieka można liczyć. I to nam się też udawało. Myślę, że to była bardzo zgrana paka. Dużo tutaj zrobiliśmy chyba dobrego dla tego miasta.

I teraz wrócimy do tego, najciekawsza rzecz właściwie. Tutaj napisałem: *Andrzej Kozłowski, mogłem do niego zwracać się „Andrzeju”, gdyż byliśmy kolegami od 1981 roku. Po tych wyczynach Andrzej nie szukał, jak wielu innych, zaszczytów i honorów. Nie szukał. Jestem świadkiem tego. Wiem, co mówię. Pozostał zwykłym pracownikiem, borykającym się z codziennymi sprawami, a potem i z poważną chorobą. Taki pozostał do końca. Nieustępliwy, spokojny, opanowany. Po raz ostatni widziałem go we wrocławskim szpitalu. Odszedł cichy, skromny bohater naszej lokalnej „Solidarności”, a przy tym dobry, przyzwyczajony człowiek. Cześć jego pamięci.* Chwała Bohaterom.

On zmarł w 2011 roku. Wtedy pomyślałem, że coś trzeba zrobić. Wrocław przyznawał medale „Niezlomny”. Wtedy wystąpiłem, już pośmiertnie. Pytałem się jego żony, czy zezwoli mi wystąpić o takie uhonorowanie. Żona wyraziła zgodę. Sama zresztą później pojechała je odebrać. To, co mi się udało, to tylko to, że dostał tego „Niezlomnego”. I tyle. To udało nam się zrobić.

Co się wydarzyło? To było w zeszłym roku, w sierpniu chyba. Nasz przewodniczący „Solidarności”, Piotr Majchrzak zawałował nas. Był Andrzej Bartoszyński, ja byłem i Mateusz Cegiełka. Chcieli zorganizować uroczystości, ale że była pandemia, to się wszystko nie udało. Przewodniczący „Solidarności” zbierał informacje, co by tu zrobić. Ja się wtedy przygotowałem, miałem notatki, Zwróciłem uwagę, że jak już tu jesteśmy, to minęło prawie czterdzieści lat, więc dobrze by było, żeby wreszcie w Dzierżoniowie było coś o „Solidarności”. Dość ostro wystąpiłem na tym spotkaniu, i mówię, że jakieś gruzińskie ronda, jakieś tam coś tam, coś tam, komu to jest potrzebne. *Własnych bohaterów nie macie?* Przewodniczący później złożył wniosek do radnych, żeby rondo czy ulicę właśnie nazwać. Bo ja tam jeszcze o nazwisku mówiłem, kto ma być, żeby to było z imienia i nazwiska, ale już do tego nie doszło. Pytali mnie, kogo mam na myśli? *Jak, kogo? Przecież tutaj mamy tego najlepszego naszego. Teofil Frankowski, nie żyje. Super by była sprawa.* No i sprawa została zamknięta. W lutym 2021 roku dowiaduję się, że rondo, które tu budowali, jak się wyjeżdża na Świdnicę, radni zgodzili się nazwać rondem „Solidarności”. Ja się dowiedziałem o tym przypadkowo. Andrzej Bartoszyński zadzwonił i mi powiedział. Mówię sobie tak: *To jest to samo miejsce, gdzieśmy nadawali z Andrzejem Kozłowskim z radiostacji nagranie audycji „Solidarności”. Palec boży albo cud jakiś, że to tak akurat się złożyło.* W tym roku odbyła się uroczystość. Andrzej Bartoszyński przemawiał, Marian Kowal też przemawiał. Napisałem: *W ostatnim czasie dowiedziałem się, że po trzydziestu ośmiu latach, tam gdzie dokonaliśmy nagrania*

podziemnego Radia „Solidarność” w ramach TMKK Ziemi Dzierżoniowskiej, zbudowano rondo. I tak oto historia naszych działań została otoczona rondem „Solidarność”. Tak to napisałem, że rondem „Solidarność”. Ciekawe, ile tu przypadku, a może tak miało być, a może to „palec boży”? Tego nie wiem. Jak się dowiedziałem, że to rondo jest, to poprosiłem Andrzeja i Janka Kozaka. Pojechaliśmy zrobić sobie tam zdjęcia. Niezła ekipa działaczy z opozycji antykomunistycznej w stanie wojennym, którzy maczali ręce w niektórych nagraniach Radia „Solidarność” w naszym powiecie. Na zdjęciu, niestety, brakuje czwartego opozycjonisty, Andrzeja Kozłowskiego, który zmarł w grudniu 2011 roku. Niestety nie ma go i nie mogę go tu namalować. Ale to był bohater, jest bohaterem i będzie bohaterem dla mnie, zawsze.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	17 sierpnia 2021, Dzierżoniów
<b>Rozmawiał/a</b>	Teresa Rodak
<b>Redakcja</b>	Jadwiga Horanin
<b>Prawa</b>	Forum Dialogu Między Kulturami